

Basil Kerski
Tomasz Kycia
Robert Żurek

„Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”

Orędzie biskupów polskich i odpowiedź
niemieckiego episkopatu z 1965 roku

Geneza – kontekst – spuścizna

Olsztyn 2006

Wydano przy współpracy
z Fundacją Konrada Adenauera



Konrad
Adenauer
Stiftung

Wydano przy współpracy
z Magazynem Polsko-Niemieckim DIALOG

DIALOG

MAGAZYN POLSKO-NIEMIECKI

Tłumaczenie z języka niemieckiego:
Justyna Górny

Fotografia na okładce:
Sobór Watykański II w Bazylice św. Piotra, fot. KNA

Opracowanie graficzne i łamanie:
Michał Knercer

Znak graficzny serii:
Marcin Kołpa

Redakcja wydawnicza:
Anna Matysiak

Korekta:
Ewa Labes-Kunicka

© Copyright for the Polish edition by „Borussia“ Olsztyn 2006
© Copyright by Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich

ISBN 10: 83-89233-24-X
ISBN 13: 978-83-89233-23-3

Wydawca:
Wspólnota Kulturowa „Borussia“
10-513 Olsztyn, ul. Kopernika 45
tel/fax: 089 534 00 26
e-mail: wydawnictwo@borussia.pl
<http://www.borussia.pl>

Druk: ZP „Gutgraf“, 10-176 Olsztyn, ul. Bałtycka 131
tel: 089 523 81 01

„Prawda jest taka, że wszystkie elity, poza jednostkami, były niewystarczająco dojrzałe, by pojąć wagę stosunków między oboma naszymi narodami”

Rozmowa z Władysławem Bartoszewskim

Władysław Bartoszewski urodził się w Warszawie w 1922 r. Maturę zdał w 1939 r. W 1940 r. został aresztowany podczas obławy SS na polskich intelektualistów i osadzony w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. W 1941 roku, dzięki staraniom Polskiego Czerwonego Krzyża wyszedł z obozu i podjął studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Wczesnym latem 1942 r. związał się z katolicką organizacją podziemną „Front Odrodzenia Polski”, należał do Rady Pomocy Żydom (Żegota) w Warszawie i był żołnierzem podziemnej Armii Krajowej. W tym samym czasie założył gazetę katolickiej młodzieży akademickiej „Prawda Młodych”. Od sierpnia do października 1944 r. brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po zakończeniu wojny był współpracownikiem Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Lata 1946–1948 i 1949–1954 spędził w więzieniu pod zarzutem szpiegostwa. W 1955 r. został zrehabilitowany i mógł rozpocząć pracę jako historyk i publicysta. W 1957 r. zaczęła się jego trwająca do dziś współpraca z „Tygodnikiem Powszechnym”. Podczas wizyty w Austrii w 1963 r. Bartoszewski poznał niektórych tamtejszych intelektualistów i polityków. Później, podczas licznych podróży na Zachód, nawiązał kontakty z członkami niemieckich środowisk katolickich, między innymi z ruchem Pax Christi, z Akcją Znak Pokuty i z Centralnym Komitetem Katolików Niemieckich. Na początku lat siedemdziesiątych współorganizował seminaria oświeceniowe dla tych grup. W latach 1970–1974 jego teksty były zakazane jako szkodliwe dla państwa. Bartoszewski aktywnie działał w „Solidarności”. Po ogłoszeniu stanu wojennego, 13 XII 1981 r. został internowany. Wyszedł na wolność w kwietniu 1982 r. dzięki międzynarodowym protestom. W latach 1982–1983 był stypendystą Wissenschaftskolleg

w Berlinie Zachodnim. Następnie udał się do Monachium, gdzie objął gościnną profesurę na wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Ludwika Maksymiliana. W 1985 r. przyjął gościnną profesurę na Uniwersytecie Katolickim w Eichstätt, a w 1986 kolejną, w Instytucie im. Rodzeństwa Scholl w Monachium. Pod koniec lat osiemdziesiątych wykładał na uniwersytecie w Augsburgu. W latach 1990–1995 był ambasadorem Polski w Wiedniu. W roku 1995 został ministrem spraw zagranicznych, jednak po wyborze Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta zrezygnował z urzędu. Polską dyplomacją kierował raz jeszcze, w okresie od czerwca 2000 do września 2001 roku. Uwagę opinii międzynarodowej zwróciła jego mowa, wygłoszona w 1995 r. w Bonn na nadzwyczajnym posiedzeniu Bundestagu i Bundesratu z okazji rocznicy zakończenia II wojny światowej. Bartoszewski jest przewodniczącym Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Jako jeden z pierwszych Polaków uzyskał w 1963 r. tytuł „Sprawiedliwy wśród narodów świata” i honorowe obywatelstwo Izraela. Wielokrotnie odznaczony, między innymi Wielkim Krzyżem Zasługi Republiki Federalnej Niemiec, Nagrodą Pokojową Księgarzy Niemieckich, złotym Medalem im. Gustava Stresemanna i Medalem Zasłużonych landu Badenii Wirtembergii. Bartoszewski jest doktorem honoris causa wielu uniwersytetów, między innymi uniwersytetu w Marburgu, Wrocławiu, Warszawie. Jest autorem ponad 40 książek.

Auschwitz, Holokaust, „likwidacja” getta, Powstanie Warszawskie, zniszczenie Warszawy — był Pan świadkiem i uczestnikiem najtragiczniejszych wydarzeń drugiej wojny światowej. Jak to możliwe, że inaczej niż wielu Pana rówieśników, którzy do końca życia nie przewyciężyli swojej nienawiści do Niemców, Pan stał się mimo wszystko orędownikiem pojednania?

Może nie mimo wszystko, tylko właśnie dlatego. Mając lat 19 nosiłem na sobie garb przeżycia Auschwitz. I nagle moi koledzy szkolni czy uniwersyteccy zaczęli mi się jawić jako grupa dzieci. Szukałem więc gwałtownie kontaktu z ludźmi dużo starszymi i mądrzejszymi. Moi szefowie i przyjaciele w okresie wojny i po wojnie byli ode mnie od 8 do 15 lat starsi. Niektórzy mieli doktoraty, gdy

ja tylko maturę. To mi pozwoliło uczynić ogromny skok w rozwoju, bo chciałem doszłusować do nich, nadrobić zaległości.

W Armii Krajowej przydzielony zostałem do Komendy Głównej. Setki moich rówieśników, o wiele lepszych, mądrzejszych i odważniejszych ode mnie, trafiło na front albo do jakiegoś kąta, a ja otrzymałem nieprawdopodobny przywilej, że w wieku 21 lat miałem dostęp do ścisłego kierownictwa całego niepodległościowego podziemia. Zyskałem na tym w sposób niesłychany, stałem się wtedy człowiekiem o kilkanaście lat dojrzałym. Potem trafiłem do kryminału i spędziłem sześć i pół roku ze zbrodniarzami hitlerowskimi i polskimi kryminalistami, ale również z czołowymi politykami wszystkich polskich partii, pułkownikami, księżmi, adwokatami, prokuratorami, lekarzami, posłami. Nigdy w życiu nie poznałbym na codzień setek takich ludzi. I tu nastąpił kolejny skok w moim życiu. Wyszedłem z więzienia, mając 32 lata, a czułem się właściwie emerytalnie dojrzałym człowiekiem.

Takie przeżycia z pewnością niezwykle pogłębiają dojrzałość człowieka, ale przecież niekoniecznie muszą skłaniać do działania na rzecz pojednania polsko-niemieckiego!

Zgoda, ale ta dojrzałość bardzo mi pomogła zachować po tym wszystkim co się stało, trzeźwe spojrzenie na sprawy polsko-niemieckie. Miałem też pewne przygotowanie jeszcze sprzed wojny, dzięki bardzo dobremu germaniście, Tadeuszowi Mikułowskiemu, który starał się przybliżyć nam wiedzę z zakresu kultury, historii, mentalności niemieckiej. To był niezwykle człowiek, nie znosił niemieckiej, pruskiej państwowości, a kochał niemiecką kulturę, sztukę i literaturę. Dzięki niemu po wojnie, po wyjściu z kryminału, zacząłem sobie myśleć: „Czyli co, nic z tego nie zostało? Tylko to SA i SS? To niemożliwe. My jesteśmy odcięci od informacji, ale skoro Francuzi, Anglicy, Amerykanie zaczynają się z Niemcami dogadywać...”.

Przełom zawdzięczam jednak środowisku „Tygodnika Powszechnego” i Znaku, a także osobie Karola Wojtyły jako biskupa i arcybiskupa Krakowa w latach sześćdziesiątych; miał on niesłychaną wizjonerską wrażliwość na potrzeby tego rodzaju.

Pierwszy raz odwiedził Pan Niemcy Zachodnie w roku 1965, krótko przed wymianą listów biskupów polskich i niemieckich. Jak doszło do tej podróży?

Kiedy powstała misja handlowa Republiki Federalnej Niemiec w Warszawie po 1962 roku, należałem, obok Stefana Kisielewskiego, do nielicznych odwiedzających ją ludzi, którzy nie byli przedstawicielami ministerstw, dyplomatami albo dziennikarzami pracującymi równocześnie dla bezpieki. Poznawałem kolejnych szefów misji i dyplomatów i oni zaproponowali mi wyjazd do RFN. Wymyśliliśmy odpowiednie dokumenty, pisma, zaproszenia. Trzeba było mieć zaproszenie w pewnym sensie „ekumeniczne”, budujące porozumienie, żeby nie miało charakteru kościelnego, partyjnego czy nawet uczelnianego. Byłem wiosną 1965 r. w RFN cztery-pięć tygodni: w Kolonii, Hamburgu, Ludwigsburgu, Monachium i Bonn. Ta wizyta stworzyła elementy mojego nowego obrazu rzeczywistości niemieckiej. Poznałem ludzi ze środowiska chrześcijańskiej demokracji; dzięki Klausowi von Bismarckowi kontaktowałem się u niego w domu z całym szeregiem działaczy kościoła ewangelickiego, dyskutowałem ze środowiskiem Westdeutscher Rundfunk (WDR), spotkałem się z Heinrichem Böllem i jego środowiskiem. Jednym słowem poznałem wielu ludzi, którzy według oficjalnego widzenia PRL w ogóle nie istnieli lub prawie nie istnieli. Z gazet w Polsce na ogół nie można było się o nich dowiedzieć. A „Tygodnik Powszechny”, który chętnie napisałby coś na ten temat, podlegał takim naciskom cenzury, że udało się ogłosić zaledwie kilka artykułów o Niemczech — Leopolda Tyrmanda, Stefana Kisielewskiego, później moich. Potem powiedzieli: „Dość, koniec tego”. Ja ogłosiłem chyba cztery artykuły i na tym się skończyło.

Rozmawialiśmy z panią Józefą Hannelową, redaktorką „Tygodnika Powszechnego”, która mówiła, że władza nie wtrącała się do artykułów na tematy niemieckie.

Po pierwsze, Józefa Hannelowa nie chodziła do cenzury. Do cenzury chodził Mieczysław Pszon albo Krzysztof Kozłowski. Tylko

oni. Po drugie redaktor Hennelowa nie była dziennikarzem politycznym. Była przede wszystkim publicystą społecznym, interesowały ją głównie problemy moralne, społeczne, rodzinne, religijne. Jej nie konfiskowali, bo na ogół nie pisała o Niemczech. Ja pisałem o sprawach niemieckich i mi konfiskowali. Wycinali całe akapity. Cztery artykuły miały jeszcze jakiś sens. A potem zorientowałem się, że wkrótce zacznę produkować same komunikaty.

A jaką logiką kierowała się cenzura?

Logika była taka, żeby nie pokazywać niczego alternatywnego, co mogłoby usposobić choć część czytelników życzliwiej, obiektywniej, dać im do myślenia i odbiec od takiego wzoru: Adenauer, Erhard, imperializm gospodarczy, neorewizjonizm tolerowany, stare kadry zatrudnione, Globke, Globke, Globke. Aby utrwać ten wzór, nie trzeba było zmyślać — wystarczyło nie cytować poważnej zachodniemieckiej prasy, a cytować niepoważną. Na przykład najwięcej przedruków z prasy poszczególnych ziomkostw ukazywało się w polskiej prasie — całe akapity najgłępszych tekstów, które w RFN kolportowano w małym nakładzie; coś takiego prezentowano jako wyraz opinii niemieckiej. Była to manipulacja, a nasze teksty pośrednio by ją obnażyły, więc nie można było dopuścić do ich publikacji.

Czy to się zmieniło zasadniczo w latach siedemdziesiątych? Czy ta presja osłabła?

W latach siedemdziesiątych? Owszem, za Edwarda Gierka można było mówić o naszych osiągnięciach w kontaktach z niemieckim rządem socjaldemokratycznym, można było pisać, że są tam też antyfaszyści, że nasz sekretarz ma bardzo dobre kontakty z kancle rzem i jego otoczeniem. Wydobywano jakieś fotografie. Ale to była czysta manipulacja. Nie nastąpiła żadna odwilż, tym bardziej że walka z Kościołem trwała nadal, choć przybrała już inne formy. Miała bardziej podstępny charakter. Prawdziwe warunki dialogu stworzył dopiero rozwój opozycji demokratycznej w Polsce w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Można tu wymienić publikacje Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, artykuły w prasie

drugiego obiegu, głośny artykuł Jana Józefa Lipskiego pt. „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy”, który ukazał się w emigracyjnym miesięczniku „Kultura” oraz w drugim obiegu.

Wróćmy jeszcze do roku 1965. Krótco po Pana pierwszej wizycie w Niemczech biskupi polscy wystosowali swój słynny list do biskupów niemieckich. Jak odebrał Pan wtedy tę inicjatywę?

Z mieszanymi uczuciami. Nikt z nas nie wiedział, nawet w środowisku „Tygodnika Powszechnego”, mimo bardzo dobrych kontaktów z Kurią, o pomysłcie takiego listu, a tym bardziej o decyzji jego napisania. Należałem więc do grona zaskoczonych i skłonny byłem uważać, że Kościół polski zapłaci zbyt wysoką cenę za ten gest. W dodatku odpowiedź biskupów niemieckich, zamiast ułatwić pojednanie, dała oręż i argumenty reżimowi komunistycznemu do walki z Kościołem. A to z kolei bardzo skomplikowało dalsze działania na rzecz pojednania polsko-niemieckiego.

Zasadniczą refleksję obudziło jednak kazanie arcybiskupa Karola Wojtyły na Boże Narodzenie w 1965 roku w kościele św. Szczepana, w którym mówił on w sposób zdyferencjowany o potrzebie rozwiązania problemów pamięci, pojednania, przebaczenia. A potem kardynał Wyszyński zastosował swego rodzaju rozwiązanie siłowe: w 1966 roku w Częstochowie wezwał lud boży, żeby ukląkł i skandował „przebaczamy, przebaczamy”. Wyszyński mógł potem powiedzieć: „Pół miliona ludzi tak mówiło, więc co mi tu będzie jakiś sekretarz podskakiwał”. Są różne metody, populistyczne albo racjonalne, zmierzające do podobnego celu. Nie podobało mi się początkowo to wszystko, bo uważałem, że nie ma odpowiedniego stanu dojrzałości i gotowości po obu stronach. A według bardzo prostego wychowania w domu, wyciągnięcie ręki z jednej strony musi spowodować odpowiedź z drugiej strony.

W roku 1966 był Pan ponownie w RFN. Czy listy biskupów były tematem Pana dyskusji z niemieckimi partnerami?

Pytano mnie, co my, Polacy chcieliśmy przez to osiągnąć. „Przecież wiedzieliście, że biskupi są obywatelami Niemiec, że nie

mogą się wypowiadać w sposób niezgodny z konstytucją o sprawach państwa, że nie są politykami”. Dla mnie najważniejszym odkryciem było wtedy stwierdzenie, że rola Kościołów w Niemczech jest mniejsza niż w Polsce. Może, jeżeli chodzi o organizację inicjatyw charytatywnych jest ważna, ale biorąc pod uwagę wpływ na kształtowanie poglądów, to nie do końca. Poglądy są kształtowane przez związki młodzieżowe, partie polityczne, grupy nacisku, związki zawodowe, landy, układy polityczne, a nie Kościoły. Dlatego szukałem kontaktów i dialogu w bardzo różnych środowiskach: wśród dziennikarzy, pisarzy, polityków. Owszem, w połowie lat siedemdziesiątych pełniłem parokrotnie funkcję nieoficjalnego quasi-emisariusza Kardynała Wojtyły i odbywałem rozmowy z prałatem Józefem Homeyerem, ówczesnym sekretarzem episkopatu niemieckiego, ale nie miały one większego znaczenia politycznego. Chodziło głównie o sprawy personalne, kontakty między diecezjami, wysyłanie kleryków i księży z Polski na studia teologiczne na Zachód. To miało sens, bo ludzie się poznawali, ale tak naprawdę nie miało większego znaczenia politycznego i nie obchodziło ani ogółu Niemców, ani Polaków.

Z tego co Pan opowiada, wynika, że wbrew obiegowej opinii środowiska katolickie wcale nie odegrały tak istotnej roli w pojednaniu polsko-niemieckim?

Moim zdaniem one bardzo długo nie odgrywały poważniejszej roli. W Zentralkomitee der deutschen Katholiken byli ludzie, którzy zajmowali się zawodowo Polską, prezydium Komitetu pozostało jednak do lat siedemdziesiątych głuche i nieme na sprawę porozumienia. Tak naprawdę, zmiana nastąpiła dopiero w latach osiemdziesiątych. Powstanie „Solidarności” i stan wojenny skłoniły ludzi do refleksji, że dzieje się coś niezwykłego. A ogromną rolę w niemieckim odbiorze tych wydarzeń odegrał fakt, że wszystko miało pokojowy przebieg, odbyło się bez rozlewu krwi. To poruszyło Pax Christi, Zielonych, nawet część SPD. A instytucjonalny Kościół niemiecki z początku nie bardzo wiedział, jak ma się do tego ustosunkować. Jednak widzieli portrety papieża na bramach stoczni w Gdańsku, słyszeli, że biskupi Polski są za, że papież popiera. I zaczęli kanalizować

swoje odczucia w dobrze zorganizowanej akcji charytatywnej na wielką skalę. Akcja ta przez pięć lat przyniosła polskiemu społeczeństwu nie tylko pomoc, ale również poczucie, że najbardziej solidarni z Polakami w całej Europie, a może i całym świecie, są wierzący chrześcijanie w Niemczech zorganizowani w obu kościołach. Niemcy pomogły nam same bardziej niż kilkanaście krajów razem wziętych, nie wyłączając Polonii w USA. To było niezwykle ważne, nie chodzi bowiem o wartość materialną, lecz poczucie solidarności, partnerstwa, które jest niezbędne dla wspólnej przyszłości.

Niektórzy niemieccy katolicy zaangażowali się jednak długo przed 1980 rokiem na rzecz pojednania polsko-niemieckiego, na przykład w ramach „Aktion Sühnezeichen”...

Spotkanie z Aktion Sühnezeichen, inicjatywą początkowo protestancką, było dla mnie bardzo ważne, bo uświadomiło mi coś, czego zupełnie nie przypuszczałem: że w NRD, przy panującym tam ucisku wolnej myśli i braku wolności słowa, kształtuje się jednak potrzeba budowania dobrych stosunków z sąsiadem, a droga do tego prowadzi przez rozliczenie się z przeszłością. Nie we własnym imieniu, bo to byli młodzi ludzie, z reguły urodzeni po drugiej wojnie światowej, ale w imieniu części tego narodu. Ujęła mnie ta trochę naiwna szlachetność garstki młodych ludzi, kilku pastorów, księży. Ale nie zmienia to faktu, że i Aktion Sühnezeichen, i inne podobne inicjatywy były w kontekście znaczenia Kościoła katolickiego w Niemczech mało liczącymi się zjawiskami na marginesie głównego nurtu. Znaczące było z pewnością Memorandum Bensberger Kreis z 1968 roku — to ono na dobrą sprawę stanowiło właściwą próbę merytorycznej odpowiedzi na list biskupów polskich sprzed dwóch i pół roku. Historyczną rolę mogło odegrać myślenie ludzi z Bensberger Kreis, ale i ta inicjatywa dojrzałej refleksji na temat wymiany listów biskupów nie została wykorzystana. Wydaje się niezbędne, aby dzisiaj przypomnieć, że sygnatariuszami deklaracji Bensberger Kreis byli między innymi tak znani katolicy jak na przykład profesor Otto Roegele, obecnie wydawca tygodnika „Rheinischer Merkur”, czy 41-letni wtedy teolog Josef Ratzinger. Niemniej jednak, olbrzymia większość niemieckich katolików, w tym

ich oficjalni reprezentanci, pozostała właściwie do lat osiemdziesiątych bierna.

Te lata osiemdziesiąte przeżył Pan w dużej mierze w Niemczech. Jak z perspektywy Polaka żyjącego najpierw w Berlinie, potem w Bawarii, postrzegał Pan udział katolików w procesie pojednania polsko-niemieckiego w tamtych latach?

Moja rola wykraczała poza konfesjonalne ramy. Żyjąc w Niemczech, z przerwą, od jesieni 1982 r. do lata 1990 r., stałem się jakby nieoficjalnym ekspertem, nie tylko katolików, ale i protestantów oraz polityków niemieckich. Po stronie katolickiej wchodziło w grę i Zentralkomitee der deutschen Katholiken, i Pax Christi; po stronie ewangelickiej środowisko protestantów starszego pokolenia, w którym istniało poczucie winy, potrzeba pokuty. Mam na myśli między innymi Richarda von Weizsäckera, czy rodzinę von Stauffenbergów. Trafiałem też do burmistrzów, posłów. Wykorzystywałem wszystkie kontakty, moją rolę profesora w Monachium, zaufanie i poparcie w CSU jako katolika, i jako antyfaszysty i więźnia Auschwitz u Zielonych i w SPD. W Polsce opozycja antykomunistyczna, zwłaszcza Bronisław Geremek, zorientowała się, że moja obecność w Niemczech to jest od Boga dany przypadek, że mogę sporo załatwić. Mieliśmy kontakty konspiracyjne, no i załatwiałem. A oni autoryzowali w ambasadzie niemieckiej w Warszawie, że jeżeli coś Bartoszewski mówi, to mówi za nas. Doradzałem też przy przygotowywaniu podróży premiera Nadrenii-Westfalii Johannesesa Raua do Polski w drugiej połowie lat osiemdziesiątych i kanclerza Helmuta Kohla w roku 1989. Szczerze mówiąc, to ja przekonałem Raua do odwiedzenia grobu księdza Popiełuszki, a Kohla do rezygnacji z odwiedzenia Góry św. Anny na rzecz Krzyżowej.

Pozwoli Pan, że nieco cofniemy się w czasie. Wspomniał Pan Polskie Porozumienie Niepodległościowe (PPN). Z dzisiejszej perspektywy fascynująca jest nie tylko treść, ale także jakość refleksji tej konspiracyjnej grupy, zrzeszającej elitę intelektualną ówczesnej opozycji, jej bardzo dojrzała myśl na temat Europy, polskiej polityki zagranicznej i Niemiec.

Byłem w PPN, wprawdzie nie od początku jego istnienia od 1976 r., ale od roku 1978. Od listopada 1981 roku byłem nawet przez kilka tygodni koordynatorem PPN, choć już 13 grudnia 1981 roku zamknęli mnie i w związku z tym przestałem pełnić tę funkcję. To był bardzo dziwny zestaw, bardzo różni ludzie, niemniej uważam naszą działalność za bardzo ważną próbę, jakiej nie było tak na dobrą sprawę na tym poziomie nawet w „Karcie 77”, jakiej nie było w NRD, i jakiej nie było na Węgrzech.

Ale nam chodzi o kontekst polsko-niemiecki. Mamy wrażenie, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych prawie wszystkie środowiska w Niemczech omijały tematy polityczne. Były wprawdzie zainteresowane humanitarnymi działaniami, pojednaniem, ale...

... kontaktami z intelektualistami, nagrodzeniem jakiegoś beletrysty...

... ale tak naprawdę głęboka refleksja polityczna na temat przyszłości stosunków polsko-niemieckich toczyła się w polskim podziemiu, a dla strony niemieckiej...

... a dla strony niemieckiej mówienie o PPN to było walenie w bambus. Przynosiłem teksty ludziom z agencji prasowej DPA czy z dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i mówiłem: „Słuchaj, uruchom to jakoś”. Oni bardzo się podniecali, wysyłali do centrali, a potem stwierdzali, że redakcja nie okazuje należytego zainteresowania. PPN było w Niemczech zupełnie niedoceniane. Mimo że nie było to środowisko kościelne, powinno jednak z punktu widzenia filozofii miłości bliźniego, współpracy, budowania mostów zainteresować oba kościoły. Ale tak się nie stało. Nie spotkałem w Niemczech, poza bardzo nielicznymi, pojedynczymi ludźmi, nikogo, kto znałby nasze manifesty, a pytałem o to czołowych przedstawicieli CSU, CDU, FDP, SPD, znanych, poważnych ludzi, profesorów, biskupowi, kardynałów. Prawda jest taka, że środowisko intelektualne, kościelne, wszelkie elity, może poza pojedynczymi ludźmi, nie dorastało do zrozumienia wagi stosunków obu narodów i społeczeństw.

Poklepywali Was po plecach, ale tak naprawdę nie traktowali poważnie?

Mało tego, siebie nie traktowali poważnie. Nie rozumieli, że nie będzie zjednoczonych Niemiec przy niechętnym stanowisku Polski. To nie jest przypadek, że Ameryka pytała Polskę o zdanie, że prezydent USA George Bush senior skłaniał kanclerza Kohla do zmiany jego pierwotnie negatywnego stosunku do „dwa plus cztery”, co Kohl zresztą przyznaje dziś w rozmowach. Pragnę na marginesie zwrócić uwagę, że w czasie rokowań nad zjednoczeniem Niemiec pani Thatcher była raczej niechętna, Francuzi udawali, że wszystko im jedno, ale w rzeczywistości nie byli entuzjastami zjednoczenia i automatycznego włączenia NRD do NATO. A my od razu mówiliśmy, że chcemy całych Niemiec w NATO, że nie chcemy żadnych osobnych regulacji dla byłej NRD, że chcemy zjednoczonych, demokratycznych Niemiec z jednolitym prawem i konstytucją i że chcemy zagwarantowania przez całe Niemcy naszej granicy. To był punkt wyjścia do dalszych traktatów. I tak się też stało. Ale nie było to wynikiem filozofii żadnych wpływowych grup.

Mamy wrażenie, że w stosunkach między Polakami i Niemcami, również między polskimi i niemieckimi elitami katolickimi panowała praktycznie przez cały czas dysproporcja nie tylko w zaangażowaniu na rzecz pojednania, ale i w jakości refleksji na temat wzajemnych relacji. Przed chwilą potwierdził Pan nasze przypuszczenie o braku zainteresowania niemieckich partnerów manifestami PPN, wcześniej poinformował nas Pan, że nawet te gesty strony niemieckiej, które postrzegaliśmy jako jej wkład w symbolikę dialogu, jak wizyta u grobu Popiełuszki, czy Krzyżowa, były tak naprawdę inspirowane przez stronę polską.

Pocieszające jest, że dali się zainspirować.

Ale sami nie byli w stanie wypracować impulsów ożywiających dialog. To jest dramatyczny wniosek.

Byli tacy, którzy potrafili: Günter Särchen, Reinhold Lehmann, ale to były jednostki. A kto dzisiaj w Niemczech uważa Särchena czy Lehmana za ważnych ludzi? Nikt. Może Aktion Sühnezeichen czy Pax Christi, gdy obchodzą jakąś rocznicę, napiszą o nich kilka zdań.

Jeden z prominentnych działaczy katolickich powiedział nam niedawno, że jego środowisko właściwie ciągle czuło się zaskakiwane tym, co się działo w Polsce. List biskupów, wybór Wojtyły, „Solidarność”. To był za każdym razem szok, ale praktycznie do końca nikt nie przypuszczał, że to będzie miało znaczenia dla Niemiec, dla Europy. Ważnych wydarzeń i impulsów Niemcy tak naprawdę zawsze szukali na Zachodzie i nawet ci, którzy starali się budować pomosty z Polakami, nie spodziewali się, że w Polsce mogłoby wydarzyć się coś, co miałoby jakieś znaczenie dla ich losu.

Po stronie niemieckiej faktycznie nie postrzegano nas powszechnie jako poważnego partnera, w odróżnieniu od Francuzów czy nawet małych zachodnich narodów. I tak niestety pozostało do dziś. Wobec Holendrów czy Szwajcarów nikt sobie nie pozwolił na arogancję. A wobec Polaków arogancja jest jakoś do wytłumaczenia. To postawa głęboko zakorzeniona w niemieckim myśleniu. A my oczekujemy od niemieckich sąsiadów normalności w europejskim traktowaniu. Nie chcemy niczego innego tylko normalności.

I tak znaleźliśmy się we współczesności. Domyślamy się, że nie jest Pan zachwycony obecnym stanem stosunków polsko-niemieckich?

Trudno być nim zachwyconym. Nawarstwiło się sporo problemów. Jeden z nich to intensyfikacja antyamerykańskiego kursu niemieckiego rządu, a częściowo także i opinii publicznej. Moje pytanie: Czy my kiedykolwiek wzywaliśmy Niemców, jako sojuszników NATO, żeby wysłali kogoś do Iraku? Nie, więc niech nam dadzą święty spokój, niech nas nie pouczają. Nasze działania

w Iraku w żaden sposób Niemców nie dotyczą, ani im nie szkodzą. Jednocześnie nagle doszło do intensyfikacji współpracy kanclerza Schrödera i prezydenta Rosji Putina, która jak najbardziej nas dotyczy. Nieprzemysłane kroki w kierunku Rosji, przypominają nam pocałunki Honeckera z Breżniewem. No i po co to? Jak władze niemieckie mogły wziąć w Moskwie udział w obchodach zakończenia drugiej wojny światowej, która, według organizatorów, toczyła się w latach 1941–1945? Czyżby Niemcy nie wiedzieli, że uczestniczą w próbie taktycznego zakłamywania historii? Czy tkwią w nieświadomości, że tamten dyktator prowadzi nieczystą grę? Myślę, że w polityce zagranicznej Niemcy stworzyli sytuację kolizyjną. Jak można jednocześnie budować wymierzony przeciwko nam i niebezpieczny dla nas gazociąg, i mówić, że się przyjaźnimy? Ja nie wiem, co to jest za przyjaźń. A projekt utworzenia Centrum przeciw Wypędzeniom? Nie mogę słuchać tłumaczeń, że pani Steinbach jest w Niemczech człowiekiem bez znaczenia. Odpowiadam tak: w Niemczech żyje około 42 milionów kobiet. Ile spośród nich jest członkiniami we władzach głównych partii politycznych? Więc nie mówcie mi, że to nic nieznacząca kobieta. A gdy Niemcy się denerwują, że Polacy wybrali Kaczyńskich, którzy uchodzą za antyniemieckich, to pytam: Czy panowie Kaczyńscy zabierali trzy, cztery lata temu głos w sprawach niemieckich? Kiedy zainteresowali się tym tematem? Odkąd pani Erika Steinbach zaczęła rozkręcać swoją działalność.

Jest Pan człowiekiem, z którego zdaniem wielu ludzi w Niemczech się liczy. Wiemy, że próbuje Pan przekonywać niemiecką opinię publiczną do polskiego punktu widzenia. Proszę powiedzieć, z jakim skutkiem?

Protestowałem na piśmie i w rozmowach. Mam spotkania, wykłady, dyskusje. Niestety widzę, że ludzie wprawdzie przyznają mi rację, ale to się na nic nie przekłada. Przykre, że wielu od lat bliskich mi ludzi zupełnie zmieniło styl myślenia o sprawach polsko-niemieckich. Inni bagatelizują obecne problemy. Ja jestem, jak to się dziś modnie mówi, sfrustrowany, ale nie dlatego, że uważam pewne procesy za nieodwracalne, tylko dlatego, że jestem człowiekiem starszym i z punktu widzenia zdrowego

rozsądku i czystej biologii jest stosunkowo mała szansa, żebyśmy doczekali radykalnej zmiany w myśleniu i ponownego uspokojenia opinii publicznej w Polsce, do czego doprowadziliśmy w latach dziewięćdziesiątych.

Stosunki polsko-niemieckie zdają się rzeczywiście być w kiepskiej kondycji. Ale niemieckie elity, również nasi niemieccy rozmówcy w tym cyklu wywiadów, bagatelizują problemy, które strona polska uważa za zasadnicze.

Oni w jednym mają rację: w dziedzinie kontaktów międzyludzkich, patronatów, partnerstw regionalnych, między miastami, między szkołami, związkami, stowarzyszeniami, między branżami wszystko funkcjonuje, i to spontanicznie. Niedawno byłem głównym mówcą na wielkim kongresie polskich i niemieckich psychiatrów w Krakowie. Zaproszonych było ponad dwieście osób. Powiedziałem tam na początku: „Nie jestem jeszcze Państwa pacjentem, choć wielu ludzi w Polsce uważa, że mój sposób podchodzenia do Niemców kwalifikuje mnie do badania tego rodzaju”. Niebawem mam występować na wielkim zjeździe farmaceutów polskich i niemieckich. Jestem więc takim głównym mówcą do pokazania, jak jakiś bi-belot. Na spotkania ze mną w Niemczech przychodzi młodzież, i niemało jej przychodzi, bo przynajmniej 40-50% to osoby w wieku studenckim. Są naprawdę ciekawi i życzliwi. Normalni ludzie w Niemczech szukają kontaktów z Polakami i je znajdują. Ale mimo wszystko konflikty polityczne i zasadnicze rozbieżności w opinii elit polskich i niemieckich w kilku bardzo ważnych kwestiach, takich jak choćby stosunki z Rosją, nie są drobiazgiem. Przecież już teraz gołym okiem widać, jak pogorszyły się nasze stosunki, i to nie tylko pomiędzy politykami. Proszę zwrócić uwagę na ton wielu mediów. Uważam, że — jakkolwiek nie my, Polacy, ponosimy tu odpowiedzialność — to jednak sporo porcelany się potłukło. I musi nastąpić zmiana, bo to może być groźne w najbliższych latach.

A jak wypada ogólny bilans Pana wieloletnich zmagania o pojednanie? Mimo wszelkich problemów w ostatnich latach pozytywnie?

„Prawda jest taka, że wszystkie elity...”

Mimo wszystko bardzo pozytywnie. W mojej najnowszej książce „Und rei uns den Hass aus der Seele. Die schwierige Ausshnung von Polen und Deutschen” napisaem, moe troce naiwnie, ale z przekonaniem: „Dla mnie to, e Polak z takim yciorysem jak ja przemawia do Niemcw w Bundestagu, to jest rzecz rewelacyjna. Ciesz si bardzo, e mogem tego doy. W ogle si z tym nie liczyem”.

Berlin 2005

*Z Wadysawem Bartoszewskim rozmawiali Basil Kerski, Tomasz Kycia
i Robert Źurek*